

Ostatni kwiecień był wyjątkowo zimny. U nas – najzimniejszy od 24 lat, ale i tak byliśmy w lepszej sytuacji niż Niemcy, gdzie zimniej w kwietniu nie było od 40 lat, zaś w Wielkiej Brytanii – aż od 100 lat. Co z tego wynika? W gruncie rzeczy niewiele poza tym, że „wszyscy mają już dość”, z tym że akurat nie w kontekście epidemii, lecz wiosny przypominającej raczej koniec zimy. Nie należy, rzecz jasna, mylić klimatu z pogodą. Pogoda to sytuacja chwilowa, a klimat to średnia kształtująca się na przestrzeni dziesięcioleci. Trzeba tu jednak zauważyć dwie prawidłowości. Oto gdy zima jest wyjątkowo ciepła – tak jak poprzednia – lub lato skrajnie gorące, natychmiast odzywają się klimatyści i krzyczą, że to są namacalne dowody na ocieplenie klimatu. Gdy zaś zimne miesiące ciągną się w nieskończoność, tak jak w tym roku, klimatyści milczą lub – co jest jeszcze ciekawsze – dowodzą, że to również dowód na ocieplenie klimatu. Innymi słowy – jeśli jest ciepło, to jest to dowód na ocieplenie klimatu, którego przyczyną jest człowiek, a jeśli jest wyjątkowo zimno, to jest to dowód... również na ocieplenie klimatu, którego przyczyną jest człowiek (AGW – anthropogenic global warming). Sprytne, prawda?

CYNICY, „ZIELONI KONSERWATYŚCI” I FANATYCY

Kim są klimatyści? Przede wszystkim nie są to naukowcy. To ważne, ponieważ szermują na prawo i lewo argumentem „naukowości”. Naukowcy jednak – niezależnie od tego, jak oceniamy ich rzetelność i podatność na naciski – nie tworzą na ogół narracji politycznej, a klimatyści owszem. Klimatystów można z grubsza podzielić na trzy kategorie.

Pierwsza to cynicy, żyjący z klimatystycznej narracji, których w swoim głośnym filmie „Planet of the Humans” („Planeta ludzi”) pokazał dokumentalista Jeff Gibbs. Film, co ciekawe, wyprodukował lewicowy filmowiec Michael Moore, za co został szybko wyklęty przez klimatystów. Sam Gibbs zaś nie jest bynajmniej przedstawicielem liberalnej gospodarczo prawicy, ale zatroskanym o planetę zielonym, zwolennikiem neomaltuzjańskiej kontroli populacyjnej. Tym jednak trudniej oskarżyć go o ideologiczne uprzedzenia.

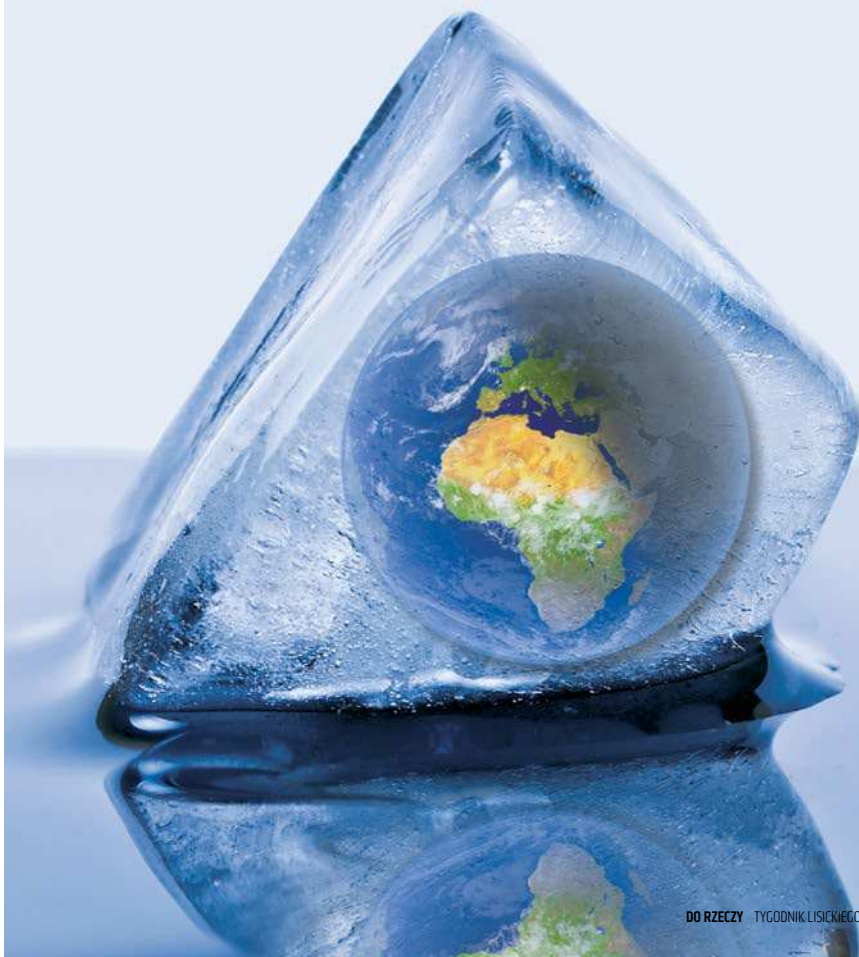
Gibbs zajął się w swoim obrazie między innymi tzw. zielonymi kapitalistami. Prześledził na przykład powiązania międzynarodowej inicjatywy 350.org,

Klimatyzm obnażony



Łukasz Warzecha

Straszenie globalnym ociepleniem jednym się opłaca, inni w nie szczerze wierzą. Tymczasem to operowanie zestawem mitów. Każdy z nich łatwo obalić



działającej na rzecz redukcji emisji CO₂ i popularyzacji alternatywnych źródeł energii, współorganizującej zresztą Strajk Klimatyczny, którego ikoną jest Greta Thunberg. Dokumentalista dochodzi do niepokojących konkluzji, wskazując na sieć powiązań z wielkim biznesem robionym na energii odnawialnej. Szczególnie wrażliwy robi fragment wywiadu przeprowadzanego przez Karyn Strickler – ekolog, aktywistkę prowadzącą przez kilka lat kanał „Climate Challenge” – z Billem McKibbenem, założycielem i prezesem 350.org. Gdy Strickler pyta McKibbena, kto finansuje jego organizację, ten nagle dostaje zaniku pamięci. Stwierdza w końcu, że donatorów jest wielu, a największym jest szwedzka Rasmussen Foundation. Dopiero pod wpływem kolejnego pytania przypomina sobie, że owszem, 350.org otrzymało pieniądze także m.in. z Fundacji Rockefellera. Trzeba tu wyjaśnić, że dla ideowych lewicowych ekologów powiązania z wielkim biznesem – a takie uosabia właśnie Fundacja Rockefellera – są poważnym obciążeniem.

Inny przykład „zielonego kapitalisty” to były wiceprezydent USA Al Gore, samozwańczy guru walki z globalnym ociepleniem. Gdy w 2013 r. pytano go, czemu sprzedał swoją stację telewizyjną Current TV Al-Dżazirze, finansowanej przez Saudów, którzy swoją potęgę zbudowali na ropie, Gore wybałał jedynie: „Przyjmuję krytykę”.

Mamy wreszcie Billa Gatesa i jego inwestycje w „roślinne mięso” w powiązaniu z prowadzoną przez niego kampanią na rzecz rezygnacji z hodowli zwierząt rzeźnych jako rzekomo przyczyniających się do globalnego ocieplenia (pisaliśmy o tym szerzej w ostatnich numerach „Do Rzeczy”).

Druga kategoria klimatystów to osoby przedstawiające się jako „zieloni konserwatyści”. Deklarujący przywiązanie do konserwatywnych wartości w istocie powielają wszystkie szkodliwe schematy klimatystów fanatycznych (trzecia kategoria), w tym żądanie wykluczenia z debaty wątpliwych. W Polsce jedną z takich osób jest młody dziennikarz Jakub Wiech, autor „Globalnego ocieplenia. Podręcznika dla Zielonej Prawicy” (trzeba przy tym przyznać, że Wiech jest zarazem jednym z najbardziej konsekwentnych promotorów korzystania przez Polskę z własnej energii jądrowej). Ta bardzo słaba książka w nieco złagodzonej formie powtarza radykalną klimatystyczną narrację, nie

wnosząc do dyskusji niczego nowego, a wątpliwości wykpiwając lub lekceważąc. Znajdujemy tam cały komplet klimatystycznych schematów, włącznie z 97-procentowym konsensusem naukowym (patrz: mit drugi) i odesłaniem do portalu Nauka o Klimacie. A ten portal to żelazny punkt każdej polskiej klimatystycznej narracji. W istocie to kopia anglojęzycznego portalu Skeptical Science, założonego i kierowanego przez Australijczyka Johna Cooka, profesora Center for Climate Change Communication (Centrum Informacji o Zmianach klimatycznych) na Uniwersytecie George’a Masona w Wirginii w USA oraz Uniwersytetu Queensland. Cook jest ważną postacią w budowaniu klimatystycznej narracji opartej na iluzji naukowości. W swoich tekstach atakował też wytrwale Gibbsa za jego film. Powstanie polskiej wersji portalu sfinansował grant z European Climate Foundation (ECF), która wśród swoich celów wymienia walkę z energetyką węglową w Polsce. Co ciekawe, ECF zasiłała w latach 2016 i 2017 fundację Akcja Demokracja (ponad 174 tys. euro w 2016 r. i 10 tys. euro rok później). Akcja Demokracja zaś z kolei wysyłała np. e-maile do Nationale Nederlanden, aby firma pozbyła się udziałów w spółce planującej budowę nowej kopalni odkrywkowej w Wielkopolsce.

Chociaż redakcję portalu stanowią w większości naukowcy (jego szefem jest prof. Szymon Malinowski, fizyk atmosfery), to sposób argumentacji jest nierzadko publicystyczny. Jeszcze w 2019 r. redakcja portalu polemizowała z moim tekstem w „Do Rzeczy”, stwierdzając m.in.: „Warzecha rozwija w tekście swoje przemyślenia na temat powszechnego spisku »klimatystów«, obejmującego ogromną większość świata naukowego oraz ludzi, którzy potrafią i chcą ze zrozumieniem przeczytać wyniki badań i pomiarów naukowych”. W moim tekście nie wspominałem oczywiście nic o „spisku”. Pisałem jedynie o mechanizmach takich jak konformizm, działających także w świecie naukowym, albo o interesach firm korzystających na zielonej strategii. Autorzy Nauki o Klimacie wystawiali sobie zatem klasycznego chochoła. W podobnym tonie polemizowali m.in. z Rafałem A. Ziemkiewiczem.

Portal nieraz obala „mity” przeciwników klimatystycznej narracji, uciekając się do klasycznej manipulacji: na liście tychże „mitów” zestawia ze sobą twierdzenia całkowicie w debacie uprawnione – na przykład zakwestionowanie przemożne-

go wpływu człowieka na zmiany klimatu – ze stwierdzeniami otwarcie wariackimi, takimi jak „rząd światowy kontroluje ludzi za pomocą chemtrails”.

W stronę tzw. zielonego konserwatyzmu idzie również Klub Jagielloński, aczkolwiek nuansując narrację. Na ten sam nurt powoływał się Michał Moskał, młody działacz PiS, formalnie firmujący „piątkę dla zwierząt”.

Trzecia grupa klimatystów to fanatycy, dla których walka o klimat stała się nową religią. Spośród nich rekrutują się wielbicieli nie tak już małej Greci czy członkowie organizacji Extinction Rebellion, w imię walki o klimat blokujący nie tylko w Polsce ruchliwe ulice, co powiększa korki i tym samym przyczynia się do zwiększonej emisji spalin. ER bywała już oskarżana o działania balansujące na granicy terroryzmu. Jej członkowie prezentują przekonanie o nadchodzącej globalnej katastrofie, co wygląda na nowe, areligijne wcielenie millenaryzmu – prądu, którego wyznawcy oczekiwali rychłego nadejścia Królestwa Bożego. Z drugiej strony ER działa jak sekty odwołujące się do takich przekonań. Nieco tylko mniej radykalny jest Greenpeace.

Wszystkie te grupy powielają identyczny zestaw mitów.

MIT PIERWSZY: POWODOWANE PRZEZ CZŁOWIEKA GLOBALNE OCIEPLENIE JEST FAKTEM, A Z FAKTAMI NIE MA CO DYSKUTOWAĆ.

Za tym mitem – powtarza go także portal Nauka o Klimacie – stoi celowe poplątanie podstawowych pojęć. W nauce oddziela się twardo dwie kategorie. Jedna to wyjściowe, mierzalne dane; druga to wnioski, jakie się z nich wyciąga, w tym hipotezy mające wyjaśniać, dlaczego twarde dane wyglądają tak, a nie inaczej, oraz czy istnieją pomiędzy nimi związki przyczynowo-skutkowe. W niektórych przypadkach hipoteza zamienia się w teorię, jednak podstawowym warunkiem takiego przejścia jest możliwość wielokrotnego i powtarzalnego eksperymentalnego przetestowania hipotezy. Gdyby zastosować ściśle pojęcia hipotezy i teorii, nie należałoby mówić choćby o „teorii ewolucji”, a jedynie o hipotezie ewolucji (co oczywiście nie oznacza, że hipoteza ta jest błędna).

W przypadku domniemanego antropologicznego ocieplenia klimatu możliwości eksperymentalnego sprawdzenia oczywiście nie ma. Testowanie, o ile się je przeprowadza, dotyczy matematycznych modeli, w których minimalna zmiana warunków wyjściowych powoduje osiągnięcie

często skrajnie odmiennych wyników. Mimo to bardziej umiarkowani klimatyści upierają się, że nie mamy tu do czynienia z hipotezą, ale z teorią. Bardziej umiarkowani, ci radykalniejsi bowiem mówią wprost o „fakcie”, dokonując gigantycznego nadużycia. Faktem jest jedynie to, co możemy stwierdzić wprost bez śladu wątpliwości – np. przypominający kulę kształt Ziemi. Sposób jej uformowania w taką postać to już jednak dziedzina wyłącznie hipotez.

Niektórzy twierdzą, że klimatologia jest najbardziej skomplikowaną nauką, łączy bowiem w sobie fizykę, chemię, geografię, geologię, matematykę teoretyczną. Mamy ogromną ilość danych, lecz klimat jest mechanizmem tak skrajnie złożonym, że twierdzenie, iż stworzyliśmy teorię jednoznacznie wyjaśniającą przyczyny i kierunek jego zmian, jest bezzasadne.

Problem nie polega na tym, że istnieje hipoteza, iż mamy do czynienia ze zmianami klimatu. Tutaj żadna hipoteza nie jest potrzebna, bo klimat zmieniał się na przestrzeni tysięcy i nie ma w tym niczego niezwykłego. To oczywistość. Nie jest problemem, że istnieje hipoteza mówiąca, iż te zmiany idą w kierunku ocieplenia ani nawet, że powoduje je człowiek. Ta hipoteza może być nawet prawdziwa. Jest jednak wciąż jedynie hipotezą – jedną z kilku. Problem leży w tym, że uznaje się ją właśnie za fakt, a na jej podstawie politycy podejmują decyzje obciążające całe pokolenia ludzi – głównie w Europie – niewyobrażalnymi wprost kosztami.

MIT DRUGI: ISTNIEJE 97-PROCENTOWY „NAUKOWY KONSENSUS” CO DO TEGO, ŻE CZŁOWIEK POWODUJE GLOBALNE OCIEPLENIE, ORAZ CO DO JEGO SKUTKÓW I CZASU, JAKI NAM POZOSTAŁ NA ZMIANĘ KIERUNKU.

Prawdy nie ustala się na mocy konsensusu. Bardzo modne dziś, mające zamykać usta sceptykom w wielu sprawach pojęcie „naukowego konsensusu” jest w gruncie rzeczy całkowicie antynaukowe. Nie chodzi tylko o to, że przekonuje publiczność, iż prawdę ustala się w drodze jakiegoś głosowania, lecz także tworzy rodzaj presji na tych naukowców, którzy chcieliby poszukiwać dziury w całym – co jest przecież istotą nauki i wielokrotnie prowadziło do odkrywania nieznanych dotąd obszarów. Jeżeli – jak w omawianym micie – nie zgadzaliby się choćby 3 proc. naukowców, to właśnie ich argumentom należy się przyglądać ze szczególną uwagą, a ich głosy osobne powinny być punktem wyjścia do debaty. A jednak klimatyści, zachowując się

antynaukowo, domagają się wykluczenia tych osób z debaty.

W przypadku hipotezy o globalnym ociepleniu powodowanym przez człowieka pojęcie konsensusu naukowego ma sens o tyle jeszcze mniejszy, że nie możemy nawet mówić o powtórzeniu przez określoną liczbę naukowców określonego eksperymentu. Tej hipotezy nie da się bowiem badać eksperymentalnie (patrz: mit pierwszy).

Kolejna manipulacja dotycząca tego mitu polega na twierdzeniu, jakoby naukowcy zgadzali się co do jednej konkretnej wersji klimatystycznej narracji, czyli jakoby niemal wszyscy twierdzili, że wpływ człowieka na klimat ma konkretną wagę oraz że „czas, który nam pozostał”, jest taki sam. To już kompletny absurd. Nawet wśród naukowców generalnie podpisujących się pod tezą o AGW są różnice co do wagi tego wpływu, tempa zmian, a już w szczególności co do tego, w jaki sposób i w jakim czasie można zmianom przeciwdziałać.

Skąd jednak w ogóle wziął się mit „97-procentowego naukowego konsensusu”? Zapoczątkował go artykuł prof. Naomi Oreskes, historyk nauki, która stwierdziła, że przeanalizowała 928 tekstów naukowych zawierających słowa „globalna zmiana klimatu” i w żadnym z nich nie zaprzeczono tezie o antropogenicznej naturze globalnego ocieplenia. Z opublikowanego przez Oreskes w 2007 r. szerszego omówienia dowiadujemy się jednak, że spośród owych ponad 900 tekstów jedynie 25 proc. wyraźnie potwierdzało tezę o antropogenicznym globalnym ociepleniu, zaś kolejne 50 proc. omawiało konsekwencje tej hipotezy i na tej podstawie Oreskes uznała, że również ją potwierdzają. Trudno tu mówić o 97-procentowym konsensusie.

Więcej szumu narobił tekst z 2013 r. firmowany przez dziewięcioro autorów, w tym znanego nam już Johna Cooka, który oprócz portalu Skeptical Science prowadzi też Consensus Project (Projekt Konsensus). Analiza, uciekając się do budzącej ogromne wątpliwości metodologii, wzięła pod uwagę 11 944 fragmenty prac dotyczących zmiany klimatu, opublikowanych w latach 1991–2011. Stwierdzono, że aż 66,4 proc. spośród nich nie zajmowało stanowiska w sprawie AGW, 32,6 proc. aprobowało hipotezę AGW, 0,7 proc. ją odrzucało, a 0,3 proc. było niepewne. Autorzy ogłosili zatem, że spośród tekstów z fragmentami o zmianie klimatu 97,1 proc. popiera hipotezę AGW. Tę liczbę podchwyciły media i zrobiły z niej „97-procentowy konsensus”.

Al Gore posuwał się do ewidentnie kłamliwego stwierdzenia, że hipotezę o AGW potwierdza „97 proc. recenzowanych naukowo badań na temat klimatu”.

Artykuł Cooka został poddany druzgocącej krytyce, ponieważ brane pod uwagę fragmenty pochodziły w dużej części z tekstów bynajmniej nie klimatologów. Mogły to być równie dobrze teksty specjalistów w kierunkach humanistycznych – kryterium było jedynie to, aby mówiły w jakimkolwiek kontekście o zmianach klimatu. Mówiąc obrazowo: gdyby tekst w czasopiśmie naukowym o problemach współczesnego świata napisała prof. Magdalena Środa i wyraziła w nim pogląd, że zmiany klimatu są powodowane przez człowieka, Cook zaliczyłby to do swoich mitycznych 97 proc., choć prof. Środa o klimatologii nie ma zielonego, nomen omen, pojęcia.

MIT TRZECI: NA ZMIANY MAMY CZAS TYLKO DO 2030 R., W PRZECIWNYM RAZIE NASTĄPI KLIMATYCZNA APOKALIPSA.

Tak jak w przypadku mitu o 97-procentowym konsensusie naukowym tu również mamy do czynienia z rodzajem głuchego telefonu. Nie istnieje żadna magiczna granica roku 2030 ani żadnego innego. W istocie moglibyśmy, idąc niejako „od końca”, wybrać sobie dowolną datę, a następnie poprosić naukowców, żeby do tej daty dobrali poziom redukcji CO₂, który po przekroczeniu tej czasowej granicy nie będzie już możliwy. Magiczna granica 2030 r. odpowiada po prostu całkowicie nierealistycznemu założeniu określonego poziomu redukcji emisji.

W swojej książce „False Alarm” („Falszywy alarm”) tłumaczy to duński ekonomista Bjørn Lomborg, który od lat zajmuje się krytyczną ekonomiczną analizą polityki klimatycznej. Pisze: „Ta granica czasowa wynika z nagabywania naukowców przez polityków, zadających bardzo konkretne, hipotetyczne pytanie: Co właściwie trzeba by zrobić, żeby utrzymać zmiany klimatyczne poniżej niemal niemożliwego do osiągnięcia progu? Nic dziwnego, że naukowcy odpowiedzieli, iż jest to prawie niemożliwe, a choćby zbliżenie się do tego celu wymagałoby gigantycznych zmian w całym życiu społecznym do 2030 r.”

Lomborg – który jest zresztą zwolennikiem hipotezy o antropogenicznym przyczynach zmian klimatu – zamiast uderzać w emocjonalne i histeryczne tony, operuje na konkretnych liczbach. Stwierdza, że jeżeli nie będziemy robić nic w sprawie zmian klimatu, to do końca

stulecia będzie nas to kosztować 3,6 proc. światowego PKB, co przełoży się na wzrost wynagrodzeń „jedynie” o 434 proc. zamiast 450 proc. Jak widać, trudno tu mówić o jakimś armagedonie.

Sam Międzyrządowy Panel ds. Zmian Klimatu, będący wyrocznią klimatystów, pisał w raporcie z 2014 r., że „dla większości sektorów gospodarki wpływ zmian klimatu będzie niewielki w porównaniu z wpływem innych czynników”, takich jak demografia czy styl życia.

W jednej ze swoich wypowiedzi, w czasach, gdy uchodziła za wyrocznię, Thunberg szczerze wyznała, że chce, żebyśmy się bali. I temu właśnie służy wyznaczanie takich dat granicznych jak 2030 r. Ile ich już resztą było? W 1982 r. ONZ przewidywała, że planeta zostanie praktycznie zniszczona poprzez zmiany klimatu i destrukcję powłoki ozonowej do 2000 r. W 2006 r. Al Gore zapowiedział, że jeżeli w ciągu 10 lat nie zostaną podjęte radykalne środki na rzecz walki ze zmianami klimatycznymi, to osiągniemy „punkt bez odwrotu”. Minęliśmy go więc pięć lat temu. W 2009 r. książkę Karol, brytyjski następca tronu i zapalony obrońca klimatu, oznajmił, że wyliczył, iż „pozostało nam 96 miesięcy na ocalenie świata”. 96 miesięcy minęło w 2017 r. A przypomnieć trzeba, że w latach 70. straszono zjawiskiem dokładnie odwrotnym: globalnym ochłodzeniem. W 1974 r. głośny panikarski tekst opublikował magazyn „Time”, a rok później „Science News” na okładce pokazywał lodowce przykrywające drapacze chmur w Nowym Jorku.

MIT CZWARTY: Z PRZECIWDZIAŁANIEM ZMIANOM KLIMATU WALCZĄ CYNICY NA GARNUSZKU FIRM NAFTOWYCH, A O KLIMAT BIJĄ SIĘ SZLACHETNI IDEALIŚCI.

Przejście na odnawialne, a w każdym razie niekopalne źródła energii (bo może to być także atom lub wodór) oznacza stopniowe wycofywanie się ze źródeł kopalnych, czyli przede wszystkim węgla i ropy naftowej – to prawda. Prawdą jest również, że te przemysły wydobywcze na tym stracą, czego świadkami jesteśmy w Polsce, gdzie rząd wciąż zмага się z problemem zamknięcia górnictwa, mimo iż Polska ma nadal duże zasoby węgla. Na stopniowej rezygnacji z ropy naftowej do napędu pojazdów (bo przecież ma ona też inne przemysłowe zastosowania) stracą państwa z eksportu tego surowca żyjące, a zatem przede wszystkim zrzeszone w OPEC. To jednak tylko jedna strona medalu.

W 2006 r. Al Gore zapowiedział, że w ciągu 10 lat osiągniemy „punkt bez odwrotu”. Minęliśmy go więc pięć lat temu

Po drugiej stronie są interesy równie już w tej chwili potężne, jeżeli je zsumować.

Po pierwsze – mamy polityczny wehikuł, jakim dla wielu polityków stały się kwestie klimatu – przede wszystkim w Europie, ale nie tylko, by wskazać na zwycięstwo wyborcze Joe Bidena. Na Zachodzie działa już samonapędzający się mechanizm mediów, aktywistów, interesów i polityków. Jeśli chce się robić polityczną karierę, to temat ratowania klimatu jest jazdą obowiązkową.

Po drugie – mamy media, które również z tego tematu żyją, a które uwielbiają upraszczać skomplikowany przekaz (patrz: mit drugi o konsensusie czy trzeci o 2030 r.).

Po trzecie – za walką ze zmianami klimatu stoją konkretne, potężne interesy finansowe. Na przykład przychód potentata na rynku siłowni wiatrowych, duńskiej firmy Vestas, systematycznie rośnie od lat i w ubiegłym roku sięgnął 14 mld euro – a to tylko jedna spółka. Wówczas Vestas zainstalował siłownię o łącznej mocy ponad 16 tys. MW. Dla porównania – łączna moc elektrowni w Bełchatowie to niecałe 5,3 tys. MW.

Producenci samochodów korzystają na antyrynkowych mechanizmach, wprowadzanych przez kolejne kraje. Dzięki dopłatom i ulgom są w stanie sprzedawać auta na baterie, które na wolnym rynku stanowiłyby niszę. Z ich punktu widzenia odwrót od spalinowej motoryzacji nie jest niczym strasznym – przeciwnie. Polityka krajów UE zmusi obywateli do kupowania aut na prąd, które przecież nie staną się tańsze od obecnych, tymczasem konstrukcyjnie są o niebo mniej skomplikowane, a więc zysk na każdym takim samochodzie będzie znacznie wyższy. Mało tego: ze względu na konstrukcję i cenę akumulatorów w przypadku takich samochodów nawet niewielka szłuczka może oznaczać nieopłacalność naprawy, a więc konieczność kupna nowego samochodu – inaczej niż z samochodami spalinowymi. Znowu zysk dla producentów.

Dorzućmy do tego pozostający w cieniu przemysł wydobywczy metali

rzadkich, koniecznych do budowy akumulatorów, a koncentrujący się w Rosji i Afryce, czy interesy producentów paneli słonecznych, a dostajemy potężny sojusz polityczno-medialno-biznesowy, którego siła jest już najprawdopodobniej większa niż siła producentów paliw kopalnych.

MIT PIĄTY: KAŻDY Z NAS MOŻE RATOWAĆ PLANETĘ, JEŚLI PODEJMIE „EKOLOGICZNY TRYB ŻYCIA”.

Absurdalność tego mitu widać najlepiej na przykładzie elektromobilności, która stała się niestety dogmatem również w Polsce. Opowieści o „czystym transporcie”, o ile dotyczą aut na baterię (samochody o napędzie wodorowym to inna historia), nie uwzględniają potężnych zanieczyszczeń związanych z produkcją akumulatorów, problemów z ich utylizacją, krótszego życia pojazdów, znacznie wrażliwszych na uszkodzenia niż pojazdy spalinowe oraz źródła prądu do nich. To ostatnie widać szczególnie w takich krajach jak Chiny, które stały się największym na świecie rynkiem dla aut na prąd, ale paradoksalnie oznacza to zwiększenie zanieczyszczenia, ponieważ ponad 62 proc. energii elektrycznej w Państwie Środka pochodzi z węgla.

Według szacunków Międzynarodowej Agencji Energetycznej do 2030 r. na świecie może jeździć 130 mln samochodów na prąd – przy gigantycznej propagandzie oraz niewyobrażalnych nakładach w postaci subsydiów i ulg z naszych przecież kieszeni. Osiągnięcie tego celu oznaczałoby zmniejszenie globalnych emisji o – uwaga! – 0,4 proc.

Lista mitów nie jest kompletna. Można by ją rozwinąć o przynajmniej drugie tyle punktów – np. przekonywanie, że przejście na „zieloną gospodarkę” nikogo nie skrzywdzi i nie zbiedniejemy od tego albo że paliwa kopalne są na wykończeniu. Najważniejsze jednak jest uświadomienie sobie i wyciągnięcie wniosków z faktu, że Zachód – zwłaszcza UE – poszedł drogą radykalnej zielonej rewolucji na podstawie fragmentarycznych, niepewnych, wątpliwych w wielu punktach przesłanek, napędzanych medialną histerią i szemranymi interesami politycznymi oraz gospodarczymi.

Jeśli dzisiaj zwolennicy zielonego ładu twierdzą, że trzeba go wspierać z troski o nasze dzieci, to odpowiadam: jeżeli zwolennicy zielonego ładu wygrają, to nasze dzieci będą w większości żyły w świecie zielonego zamordyzmu i ubóstwa. Wciąż jeszcze mamy wybór. © © Wszelkie prawa zastrzeżone